



Podróż 55

Raj – każdy wyobraża go sobie inaczej. Dla jednych jest to miejsce, w którym żyje się skromnie i spokojnie, gdzie czas płynie wolno, nikt się nie spieszy, wszyscy są uśmiechnięci i szczęśliwi. W raju niepotrzebny jest samochód. Przecież nie trzeba jeździć do pracy na zakupy i podróżować, bo piękne widoki są na wyciągnięcie ręki. Oczywiście w raju musi być ciepło, więc termometr jest zbędny. Przez cały rok owoce rosną na drzewach, ryby pływają w morzu. Mężczyźni malują sobie paznokcie u stóp, a kobiety szukają kwiatów i muszlelek by upiększyć swoje domostwa.

Czy taki świat naprawdę istnieje? Czy możemy żyć szczęśliwi bez zdobyci cywilizacji? Dzisiaj wiemy, że tak. Znaleźliśmy takie miejsce na maleńkiej wyspie Balicasag – jednej z siedmiu tysięcy filipińskich wysp.

Ale od początku.

Jest godzina 1.17. Szybkim krokiem przemierzamy lotnisko w Tajpei – stolicy wyspiarskiego Tajwanu, który zwiedzaliśmy przez ostatnich kilka dni. Byszcząca, nienagannie czysta posadzka i zielone pnącza na ścianach odprowadzają nas do bramek terminala. Po chwili wzbijamy się w powietrze. To już czwarty lot w trakcie naszej podróży na daleki wschód. Za nami kosmopolityczny Hong Kong, hazardowe Macao i Tajwan – sól w oku potężnych Chin. Przed nami cztery godziny lotu i ekscytujące Filipiny.

Łądujemy o świcie. Odbieramy bagaże, szybka odprawa i po chwili ściśnięci w taksówce pędzimy z lotniska znajdującego się na wy-



Nasza plaża

spie Mactan na sąsiednią wyspę Cebu. Na desce rozdzielczej imponujących rozmiarów napis „fasten your seatbelt, no smoking”, obok fluorescencyjny różaniec i figurka Matki Boskiej. Za pokrytymi wilgocią szybami szarża wszelkiej maści pojazdów, permanentny chaos i nieustanny dźwięk klaksonów. Po kilkunastu minutach jazdy z impetem wpadamy w tłum ludzi, obładowanych torbami, tekturowymi pudłami i reklamówkami. Zatrzymujemy się na placu portowym. Przeskakując kałuże, stajemy w kolejce do kas znajdujących się przed budynkiem portu. Jest nieprawdopodobnie wilgotno. Kropelki potu błyskawicznie pokrywają nasze ciała. Zewsząd dobiega zapach spalin drażniący oczy. Nie mniej irytujący jest rozwrzeszczany tłum tubylców w kolejce. Zmęczenie daje znać o sobie. W końcu kupujemy bilety. I tu niespodzianka. By wejść do budynku musimy kupić kolejny bilet – taka peronówka. No cóż, z uzbrojonym ochroniarzem się nie dyskutuje.

Wchodzimy na prom, na najwyższy pokład z nadzieją na wspaniałe widoki. Niestety, to najtańsza klasa, tuż za warcząca maszynownią. Niewielu tu nawet miejscowych, plecione krzesła zajmują głównie globtroterzy, przemierzający na własną rękę najdalsze zakątki świata. Po chwili prom nabiera rozpędu, hałas staje się nieznośny. Brezentowy dach ocieka wodą, morska bryza wdziera się

na pokład. Pomimo tych niedogodności, zasypiamy. Nasze ciała powiedziały: „dosyć!”.

Po dwóch godzinach wpływamy do Tagbilaran na wyspie Bohol, przyglądając się portowym nadbrzeżom. Bohol to jedna z najpiękniejszych wysp na Filipinach. Często mówi się o niej, że to Filipiny w pigułce. Na pewno jest to obowiązkowy punkt programu każdej wycieczki. Za kilka dni wrócimy tutaj by poznać jej wspaniałości. Szybko znajdujemy kolejny środek transportu. Tym razem w miarę komfortowych warunkach – busikiem – jedziemy na wyspę Panglao, którą z wyspą Bohol łączą dwa mosty. To popularna wyspa wśród turystów. Tutaj znajdują się słynne plaże Alona Beach czy Danao Beach, wokół których znajdziemy wiele przytulnych hoteli. My szukamy transportu na docelową wyspę, w czym skutecznie pomaga nam nasz kierowca. Zawozi nas do swoich przyjaciół, którzy mają łódkę. Niestety, negocjacje cenowe mocno się przedłużają. Zaczynam tracić cierpliwość – jestem bliższy rezygnacji. Ratuje nas Ala, która ze stoickim spokojem negocjuje nieustannie zmieniającą się cenę. W końcu korpulentna Filipinka wysyła z nami starszego syna. Objuczeni plecakami z ulgą pokonujemy rozległe płycizny, by dotrzeć na łódź. Z pomocą naszego sternika, wdrapujemy się na bancas. Tak nazywają się rodzime łodzie rybackie przypominające drewnianego

pajaka. Dzięki swej smukłości są wyjątkowo szybkie. Niestety, zdezelowane potężne silniki, niezadko pamiętające czasy drugiej wojny światowej są przeraźliwie głośne. Po kilku minutach zaczynam odczuwać nieznośny ból. Zatykanie uszu przynosi niewielką ulgę. Gdzie ten raj? Z nadzieją rozbitka wypatrujemy łądu. Nagle na styku morza i nieba zarysowuje się zielona linia. To nasza wyspa i jeden z celów naszej podróży. Obroty silnika spadają, a jego hałas zastępuje delikatny szum fal. Jesteśmy na wyspie Balicasag. Z przyjemnością schodzimy na ląd. Tutaj skorzystamy z programu Home Stay – za niewielką opłatą zamieszkamy z filipińską rodziną w ich domu. Przy małym domku w kolorze turkusowym, stojącym kilkadziesiąt metrów od plaży z uśmiechem witają nas gospodarze. Patrząc dookoła, to chyba najokazalszy dom. Przez niewielką werandę, na której suszą się ubrania wchodzimy do środka. „Duży” pokój przypomina raczej wnętrze kaplicy przy kościele, ale jest schludnie i czysto. Pełno tu makatek z wizerunkami świętych, kolorowych kwiatów i rodzinnych bibelotów. O dziwo, jest też niewielka choinka i napis rozwieszony na drewnianym kredensie: „Merry Christmas – Happy New Year”. Patrząc na siebie, zadajemy sobie pytanie: czy tu święta trwają cały rok? – przecież to dopiero początek listopada. Wchodzimy do mikroskopijnego pokoju, w którym mieszkali gospodarze. Gdzie będą spać teraz – nie wiemy – pewnie u rodziny albo znajomych. Nasz pokój to łóżko, niewielka szafka, wentylator i moskitiera. Drzwi to kawałek sklejki i metalowy skobel. To wszystko.

W mgnieniu oka Michał, zagorzały piwosz, odkrywa sklepik. Po chwili w towarzystwie miejscowych okupujących drewnianą ławeczkę, kupujemy dwa litrowe piwa „Red Horse”, Colę w klasycznej szklanej butelce i dwie wody. Potem biegniemy nad morze. Oprócz miejscowych dzieciaków jesteśmy tu sami – takich



Popularna rozrywka dzieciaków



Ławeczka przy sklepie



Weranda – to główne miejsce spotkań



Duży pokój



Dom naszych gospodarzy



Chwila odpoczynku

miejsce szukamy przemierzając świat. Wskakujemy do ciepłej wody i ze zdumienia tracimy dech. Patrząc przez maski nie możemy uwierzyć, że otacza nas cudowna rafa koralowa. Niczym dzieciaki w piaskownicy wpadamy w euforyczną radość. Pod nami koralowce, gąbki, pomarańczowe błaznki, pilnujące swoich parzących ukwiałów, niebiesko-zielone wargacze, żółte ustniczki, a wszystko zatopione w błękitnie morskiej toni. Ściskając w dłoni kamerę powtarzam sobie: „spokojnie, nie wszystko na raz.” Jak się później okazało, nasze panie na plaży również znalazły coś dla siebie – multum ozdób oferowanych przez miejscowe dziewczęta.

Po powrocie prysznic, za który służyła chochelka i wiadro z lekko słonawą wodą. By sprostać temu wyzwaniu „kapiemy” się po dwie osoby. Woda słodka wykorzystywana jest wyłącznie do picia i jest dowożona na wyspę łodziami w wielkich plastikowych beczkach.

Potem kolacja: na kolorowej cecacie, z plastikowymi naczyniami i mocno przypieczony kurczak, ryż oraz sos z pikantnymi papryczkami.

Wieczorem postanawiamy ponownie pójść nad morze. Obserwując męczczyzn pływających na łowy zasypiamy na plaży. Budzimy się, kiedy czerwona poświata zakryła niebo.

Wydawać by się mogło, że to koniec wrażeń. Nic bardziej myl-



Charakterystyczne plecione chaty w wiosce

nego. Największe pomieszczenie naszego domu przerodziło się w salon masażu, z którego chętnie korzystają Ala i Justyna. A ja siedząc z Michałem na werandzie, z błogą radością sączę kolejne łyki piwa i spoglądam na gekony, polujące na ćmy przylatujące do światła żarówki.

Wczesnym rankiem, wymykam się z domu. Słychać tylko gdakanie kur, pisk świnek zamkniętych w prowizorycznych chlewikach, śpiew ptaków i szum fal. Gdzie są mieszkańcy? Czyżby jeszcze spali? Przecież jest środek tygodnia. Wracam do kuchni zalanej promieniami wschodzącego słońca. Gotowe śniadanie jest już na stole.

Po śniadaniu idziemy na plażę, na której zgodnie z obietnicą czeka na nas syn naszej gospodyni. Pożyczoną łodzią zabierze nas w rejs dookoła wyspy. Główny cel to olbrzymie morskie żółwie zamieszkujące tutejsze podwodne

łaki. Wyspa Balicasag to jeden wielki podwodny cud natury. Coraz częściej zaglądają tu turyści nie schodząc jednak na ląd. Nagle słyszemy wołanie: „Turtles! Turtles!”. Błyskawicznie wskakujemy do wody. Pod nami kilkudziesięciometrowa głębia, na dnie której rysują się olbrzymie, elipsoidalne kształty żółtawych pancerzy. Snurkując nie możemy zanurkować tak głęboko, więc czekamy aż żółwie będą musiały się wynurzyć, aby zaczerpnąć powietrza. Nasza cierpliwość zostaje wynagrodzona. Morskie żółwie zaczynają majestatycznie szybować ku powierzchni. Ich rozmiary budzą respekt. Wielkość skorupy dorosłego osobnika osiąga dwa metry średnicy. Pomimo tego próbujemy maksymalnie się do nich zbliżyć. Po zrobieniu zdjęć z satysfakcją wdrapujemy się na wąską łódź.

Balicasag sanctuary – to jedyne miejsce wokół wyspy gdzie przywożeni są turyści i gdzie zatrzymują się łodzie firm organizujących nurkowanie. I to jedyne miejsce, które nas rozczarowało. Dzieciatki nóg depczących resztki rafy. Przewodnicy dokarmiają ryby, a pseudoturysty w amoku pstrykają i filmują co się da. Nie chcąc przyczynić się do dalszej dewastacji rafy koralowej prosimy naszego przewodnika, aby zawiózł nas w spokojniejsze miejsce.

Jakże inny świat czeka na nas po drugiej stronie wyspy. Tylko my i cud podwodnych raf.

Po kilku godzinach na morzu, wracamy do wioski gdzie życie toczy się własnym rytmem. Dzieciaki w cieniu palm grają w bilarda, łodzie suszą się na słońcu, a na werandzie rozłożył się salon piękności. Naszemu gospodarzowi córka i sąsiadka robią pedicure. Ponoć córka to najlepsza specjalistka na wyspie – z dumą mówi o niej nasza gospodyni.

Na obiad tradycyjny zestaw: mocno spieczone udko kurczaka, ryż i pikantny sos na bazie papryki. Wokół domu zbiera się coraz więcej mieszkańców wyspy. Nie wiemy tylko, czy z powodu oferowanych teraz werandowych usług, czy z naszego powodu. Tak czy tak, jest miło i sympatycznie.

Jeszcze raz przysiadamy na plaży by chłonąć te cudowne chwile i porozmawiać z naszym „przewodnikiem”. Szybko zauważamy, jak w wielu kwestiach postrzeganie otaczającego nas świata, mocno się rozjeżdża. Uczysz się? – „Nie.” – pada odpowiedź. „Chodziłem trochę do szkoły na wyspie.” A gdzie pracujesz? – chwila zastanowienia i brak odpowiedzi. Zresztą samo słowo „pracujesz” wydawało się mu obce. Ile jest teraz stopni? „Teraz jest chłodno.” Dopiero później zauważamy, że w domu nie ma termometru. Czemu tak mało jecie ryb? „Bo trzeba je łowić, a kurczaki żywią się same, chodząc swobodnie po wyspie.” To my byliśmy zakłopotani tymi prostymi i szczerymi odpowiedziami. Zaczynamy zazdrościć takiego życia mieszkańcom wyspy. Nie dotarło tu wiele zdobyczy cywilizacji, ale nie ma biedy – patrząc na zaokrąglone biodra i brzuchy tubylców. Czy tak wygląda namiastka rajy? I czy my moglibyśmy tak żyć? Chyba już nie.

cdn.

Tekst, zdjęcia Ireneusz Wołek

YouTube niezwykle świat
Filipiny
www.niezwyklyswiat.com



Idziemy w stronę łodzi, która zawiezie nas na wyspę Balicasag